

Konarski, Feliks

Maki zakwitły w nocy

Przegląd Pruszkowski nr 1, 14-23

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MAKI ZAKWITŁY W NOCY



Autor „Czerwonych Maków”

Wróciliśmy z Lucerny późnym wieczorem. Powroty z odcinków nie należały do przyjemności. Jechało się bez świateł po wąskich, wybitych drogach ciężarówkami, które człówek prawdopodobnie wymyślił po to, by nie zapomnieć, że jest posiadaczem kiszek, mających szczególne zdolności podchodzenia pod gardło oraz posiadaczem nosa, wdychającego bez przerwy biały pył z włoskiej szosy, wciskający się kłębami do rozdygotanej ciężarówki.

Byłem piekielnie zmęczony, ale nie mogłem spać. Co chwila zbliżałem się do okna i patrzyłem na dalekie błyski artyleryjskiego ognia. Momentami błyski następowały po sobie w tak krótkich odstępach czasu, że tworzyły na ogromnej połaci czarnego nieba jedno długie białe pasmo.

Tam jest Monte Cassino. Tam dzieje się coś, czego jeszcze w

tej chwili nie mogę objąć myślą. Wyczuwam tylko, że gdzieś pod tym białym pasmem rozwarło się piekło.

Tam oni biją się o klasztor...

Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy... Zapadłem w półsen... Po głowie tłukły mi się słowa rozkazu generała Andersa:

„Nadeszła chwila bitwy...”

Nadeszła... Jest... Czuję ją... Widzę jak odbija się białym błyskiem w moim oknie...

„Długo czekaliśmy na odwet i zemstę nad naszym odwiecznym wrogiem...”

Przyszędł odwet. Przyszła zemsta w pachnącą majową noc... Wiosna mści się za jesień...

„Zadanie, które nam przypadło, rozstawi na cały świat imię żołnierza polskiego”.

Nie pierwszy to raz i nie ostatni... Za wolność waszą i naszą... Wciąż ta sama spuścizna... To samo dziedzictwo...

*Drogą pokoleń, śladami cieni,
szlakiem ciemnym i krwawym -
po raz tysięczny wydziedziczeni,
dziedzice tej samej sprawy...*

„W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego narodu...”

Naród też walczy i modli się o zwycięstwo wolności... Nie dla siebie - dla Niej...

„Z wiarą w sprawiedliwość Opatrzności Boskiej idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych: Bóg, Honor i Ojczyzna...”

Idziemy. A przed nami ziejąca ogniem góra klasztorna...

Widzę ją. Czarnym masywem wbijająca się w niebo. Niedostępna. Szczytem chmur sięgająca... A pod chmurami zwał gruzów... A w gruzach kryjące się, wściekłe szcury, których nie sposób wytepić...

Szcury w chmurach... Nielogiczne - a przecież prawdziwe...

I nagle... Samo przyszło...

*„Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się kryje, jak szcur.
Musicie... Musicie... Musicie...
Za kark wzięść i strącić go z chmur...”*

Zeskoczyłem z łóżka...Gdzie ten przeklęty ołówek?... Za kark wzięść i strącić go z chmur?... Niedobre. Niezręczne. Ale nie zmienię, bo samo przyszło. Bo dało mi początek... Dalej już pójdzie łatwo. To przecież takie proste i jasne...

*„I poszli szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić...
I poszli, jak zawsze uparci,
Jak zawsze - za honor się bić...”*

Poszli... Z umartwymi żywi... By ciepła noc majowa, na zboczach, niby makiem - ich krwią się zarumieniła...

*„Czerwone maki na Monte Cassino,
Zamiast rosy piły polską krew...
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz silniejszy od śmierci był gniew.
Przejdą lata i wieki przeminą,*

*Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwiesze będą - bo z polskiej
wzrosną krwi..."*

Pisałem gorączkowo, szybko... Jak gdybym chciał tymi paroma zwrotkami dodać im sił i krwi, która wsiąkała w przerytą pociskami ziemię... Wydawało mi się, że idę razem z nimi... Że jedynym teraz celem jest ten przekłety szczyt...

*„Runęli przez ogień straceńcy,
Niejeden z nich dostał i padł...
Jak ci z Samossiere szaleńcy,
Jak ci spod Rokitny sprzed lat...
Runęli impetem szalonym
I doszli. I udał się szturm.
I sztandar swój biało-czerwony
Zatknęli na gruzach wśród chmur..."*

Dziś po latach dopiero, widzę, że piosenka jakby przewidziała bieg wydarzeń... A jeżeli nie wyprzedziła bitwy, to w każdym razie zbiegła się z nią. Przeczucie? Zbieg okoliczności?... Magia chwili?...

Przeczytałem kilkakrotnie to, co napisałem. Zacząłem nawet nucić melodię, która nasunęła mi się przy czytaniu zwrotki...

Po chwili jednak złożyłem zapisany arkusz papieru i wybiegłem na ulicę. Pierwszego zbudziłem Schütza:

- Fredek, wstawaj...

Spojrzał na mnie pół przytomny:

- Co się stało?... Wyjazd?...

- Nie. Mam piosenkę... Masz zrobić muzykę i to w ciągu pół godziny. Najdalej.

- Człowieku, czyś ty oszalał?... O trzeciej w nocy mam ci muzykę pisać?... Pali się?...

- Żebyś wiedział. Jutro jedziemy na odcinek i piosenka ma być śpiewana.

- A kto się nauczy?

- Wszyscy. Ty pisz, a ja tymczasem sprowadzę tu resztę i poćwiczmy.

Schütz zamrugał czarnymi oczkami i przytrzymując spodnie od pizamy zaczął kręcić się po pokoju w poszukiwaniu nutowego papieru:

- Zwariował. Jak Boga kocham zwariował. O trzeciej w nocy on robi próbę.

Ale po chwili siedział już przy pianinie i studiował z uwagą tekst.

- Mogę ci dać temat do zwrotki. Wykorzystaj to.

Zabrzdąkałem na pianinie parę taktów jednym palcem.

- Niezłe. Zobaczę.

Zostawiłem go i wyszedłem na ulicę. Campobasso było pogrążone w śnie. Zbudziłem wszystkich kolegów. Nie obeszło się bez miłych epitetów w stosunku do mojej osoby, ale w rezultacie w ciągu dwudziestu minut wszyscy zjawili się u Schütza. Ten miał już muzykę nakreśloną. Naprędce podyktowałem tekst obecnym. Zaczęliśmy próbować. Włosi za ścianą z pewnością byli zdziwieni i wściekli - ale nie mieli odwagi zabrać głosu w sprawie niezwyklej, jak na tę godzinę, próby.

Po niespełna pół godzinie rozeszliśmy się. Już na ulicy poleciłem Fabianowi, by na dużym arkuszu papieru napisał tuszem tekst refrenu, bo chciałem, by żołnierze śpiewali piosenkę z nami...

Zasnąłem o wpół do piątej rano. Fabian o szóstej. Schütz ten nocy nie spał w ogóle. Wyglądał na zmęczony. Zapalił się. Widocznie wyczuł, że "Czerwone maki" staną się czymś więcej, niż zwykłą piosenką...

TYM, KTÓRZY ODESZLI...

O dziewiątej wyjechaliśmy w kierunku Cassina.

Zbliżając się do wyznaczonego odcinka, po drodze ujrzałem za przydrożnym rowem samotny grób żołnierski. Naprędce sklecony krzyż, przewiązany białą taśmą, stał z lekka pochylony. Pod krzyżem - wiązanka maków w łusce od pocisku.

Pomyślałem sobie wtedy, ile nowych krzyży przybyło w ciągu tej majowej nocy?...

Wyjąłem z kieszeni notes i w ciężarówce dopisałem trzecią zwrotkę:

„Czy widzisz ten rząd białych krzyży?

To Polak z honorem brał ślub...

Idź naprzód. Im dalej... im wyżej -

Tym więcej ich znajdziesz u stóp.

Ta ziemia do Polski należy,

Choć Polska daleko jest stąd...

Bo wolność krzyżami się mierzy.

Historia ten jeden ma błąd..."

Śpiewając po raz pierwszy „Czerwone maki” u stóp klasztornej góry, płakaliśmy wszyscy. Żołnierze płakali z nami.

„Czerwone maki”, które zakwitły tej nocy, stały się jeszcze jednym symbolem bohaterstwa i ofiary - i hołdem ludzi żywych dla tych, „którzy przez miłość wolności polegli dla wolności ludzi”...

OLD RUSSIAN BEAR

W New Yorku w poniedziałki większość lepszych knajp jest zamknięta. Jaś Wojewódka, pionier chicagowski w sprowadzaniu polskich imprez teatralnych do Ameryki, zaprosił nas na pożegnalną kolację. Następnego dnia mieliśmy odpłynąć z powrotem do Europy.

Był późny wieczór. Łaziliśmy po Broadwayu w poszukiwaniu jakiejś przyzwoitej restauracji, gdzie można by było dobrze zjeść, posiedzieć i pogadać w przytulnym kącie, z dala od męczącego zgiełku, którym właśnie New York różni się od powolnego i śpiącego o tej porze Londynu.

Znaliśmy parę takich przytulnych restauracji, ale wszędzie całowaliśmy kłamki. Tymczasem zbliżała się północ i kiszki zaczynały grać marsza głośniejszą, niż wyją klaksony nowojorskich taksówek.

Oleńska pierwsza straciła cierpliwość:

- Wejdźmy gdziekolwiek, bo już mi nogi wrastają w p... od tego łażenia.

Zaprotestowałem:

- Nie wejdziemy gdziekolwiek, bo kolacja jest proszona, więc musi być przyzwoita.

Szliśmy dalej. Następne dwie knajpy też były zamknięte. W międzyczasie dobrnęliśmy do Lexington.

Nagle Wojewódka z głupia frant zapytał:

- Zjelibyście dobrego „strogonowa?...”

- Złego też - warknęła Oleńska.

Byłem przekonany, że Jaś robi kawał, żeby nas do reszty rozdrażnić. Okazało się jednak, że nie żartował.

- Jest tu na rogu 56-tej ulicy stara biało-rosyjska knajpa „Old Russian Bear” - rosyjski niedźwiedź. Specjalność: bliny i beef Strogonoff. Przyjemna muzyczka gra do słuchu i na ogół nie ma tłoku.

Argumenty były nie do zbiccia. Ponadto znajdowaliśmy się o dziesięć kroków od miejsca, gdzie można było zjeść. Nie byliśmy zresztą w stanie oponować z nadmiaru śliny, która nabiegała nam do ust na samo wspomnienie o „strogonowie”.

Za chwilę nad naszymi głowami mignął neonowy napis „Old Russian Bear” i znaleźliśmy się w szatni.

Przystojny brunet w różowej rubaszce pomógł nam zdjąć płaszcze, następnie wprowadził nas do niewielkiej sali i wskazał stolik przy małej estradzie.

Orkiestra w tym momencie nie grała. Nie mogła grać, gdyż jak się za chwilę okazało, przystojny brunet z szatni był jednocześnie jednym z członków orkiestry. A członków było dwóch. Ten z różowej rubaszki grał na harmonii lub na fortepianie - drugi zaś, w zielonej, grał na skrzypcach.

Zamówiliśmy trzy „strogonowy” i czystą wódkę, pomimo, że nikt z nas za czystą nie przepadał - ale po prostu wydało nam się, że do tych rubaszek żaden inny alkohol nie pasowałby. Wykoślawiłby nastrój.

Duet na estradzie grał „duszeszczypatelno” wiązanek starych cygańskich romansów. Widać było, że muzycy - jak to się mówi - grali pod nas. Bo poza nami nikogo w lokalu nie było. Inni jeszcze tu nie dotarli, szukając, jak my do niedawna, przyzwoitej otwartej restauracji.

Rozmawialiśmy półgłosem, ale nie tak cicho, by muzykalne uszy grajków nie dosłyszały, że mówimy po polsku. Wytrawny muzyk musi zawsze wiedzieć, dla kogo i pod kogo gra. Nic też dziwnego, że po wiązance romansów popłynęła wiązanka warszawskich tang.

Trochę to było dziwne i zwariowane. W centrum Nowego Jorku dwóch facetów w rosyjskich rubaszkach zaiwaniało z uczuciem „O, przyjdź kochanku mój, blade usta daj” albo „Jak pantera, co w złotej klatce śpi...”

Rozrzewniło to nas z lekka, bo w międzyczasie zdążyliśmy już przełknąć po dwie głębsze. Zaczęliśmy nawet podśpiewywać dawno zapleśniałe, rozdzierające na swój sposób serce teksty...

*„Dzisiaj jest już za późno,
Czas miniony nie wróci...”*

Pomyślałem sobie wtedy - ileż to razy w Londynie, w polskiej knajpie, rodacy rozrzewnieni paroma wódkami rozpoczynali chóralnie zawodzić „Oczy czarne” - a tu Rosjanie rozrzewniają nas polskim „Już nigdy”...

Mocnymi brawami podziękowaliśmy za tanga.

Harmonista, widocznie ośmielony naszym entuzjazmem i pustką w lokalu, podszedł do naszego stolika.

- Ja srazu uznał, szto wy Pałaki. Ładne są te wasze tanga. Nasza publika bardzo lubi. Dlatego my ich często gramy. Ale wot, jest jedna piosenka, której najpiękniejsze tango nie pobije. Polskaja piosenka. Może wy ją nawet znacie. Musicie znać.

- Jaką piosenka - zapytał z ukraińska Wojewódka, będąc przekonany że mówi po rosyjsku.

- „Czerwonyje maki na Monte Cassino”... Znacie?

Zdębiałem.

Ale Wojewódka szelmowsko się uśmiechnął i wskazując na mnie ręką wypalił:

- A ot tutaj siedzi autor tej piosenki.

Teraz z kolei zdębiał harmonista. Spojrzył na mnie wzrokiem, jak gdyby zobaczył przed sobą co najmniej cara Mikołaja. Nie skłamię, jeżeli powiem, że zobaczyłem w jego oczach najpierw zdumienie, a potem niedowierzanie połączone z zachwytem.

- Nieważmożno... Nieważmożno... - nie wiedział, co powiedzieć.

Wreszcie podbiegł do mnie i gorączkowo zaczął mówić:

- Awtor „Czerwonych maków”... We własnej osobie... Oczom własnym nie wierzę... Nu... Dajcie ruczku pażat...

Złapał moją rękę i trząśł nią przez dłuższą chwilę, powtarzając:

- Nieważmożno... nieważmożno...

Nagle, jakby sobie coś przypomniał. Szybko odszedł od stolika. Ale nie na długo. Wrócił i przyprowadził ze sobą wszystkich znajdujących się w lokalu, począwszy od właściciela a skończywszy na kelnerach i kucharku:

- Patrzajcie - mówił do nich - wot eto awtor „Czerwonych makow...”
Pożmitie jemu ruczku...

Wszyscy kolejno ściskali moją dłoń. Tymczasem harmonista wszedł na estradę, dał znak skrzypkowi i popłynęły „Czerwone maki.”

W New Yorku, na 56-tej ulicy, w rosyjskiej knajpie...

„Maki” wzruszają mnie zawsze. Nie jako melodia ale jako wspomnienie czegoś, co było jednym z moich niezapomnianych przeżyć - częścią jakiejś tragicznej ale wielkiej przygody.

Tym razem wzruszyłem się inaczej. Jakoś bardziej egoistycznie. We wzruszeniu tym było trochę zarozumiałości.

Orkiestra umilkła. Myśmy milczeli. Byliśmy pod nastrojem chwili.

Harmonista znowu podszedł do mnie i zapytał, czy nie mam zastrzeżeń, co do jego interpretacji.

Zwróciłem mu uwagę, że w czwartym takcie refrenu robi mały błąd w melodii.

Zaczął się tłumaczyć, że gra ze słuchu, że jakiś Polak przypadkiem mu to zaśpiewał. Że byłby szczęśliwy, gdybym mu zechciał podarować nuty.

Przyrzekłem przysłać mu je z Londynu.

Wychodząc z „Rosyjskiego niedźwiedzia” szepnąłem do siebie półgłosem:

- Jeszcze jeden Wiktor...

Wojewódka dosłyszał:

- Co za Wiktor?

- Nie znasz go. Jeden z moich przyjaciół...

Spojrzałem w górę. Niebo było czarne. Gwiazdy nad New Yorkiem świeciły jasno, jak wtedy - w ową pamiętną, majową noc...

CZY WARTO?

Otrzymałem wiersz od p. Andrzeja Lewińskiego. Wiersz smutny. Pełen tragicznych refleksji, zrezygnowania i zwątpienia. Pomimo, że - jak wynika z treści - p. Lewiński jest człowiekiem młodym. Jest to jeszcze jeden dowód, że żyjemy w wyjątkowo brutalnych czasach, które swoją bezwzględnością potrafią zniszczyć jeden z najcenniejszych skarbów młodości, jakim jest radość życia. Dlatego wiersz jest smutny.

Podaję go w całości wraz z dedykacją:

„... Wszystkim »niepoprawnym« marzycielom, którzy życie swe oddali
bezimiennie za Polskę, w nadziei »owocnej siejby«, wdowom i sierotom,
inwalidom oraz wszystkim innymi nieszczęśnikom - ofiarom tej wojny, po-
święcam niniejszy wiersz. Chwała im...”

Czy to było warto?

Granatem - buum...

A potem

Pach, pach, pach,

Z „tomiganu”.

Bagnetem

W nich.

Bombą z samolotu.

Wgryzaj się

Zębami

W kamień.

Kop nogami

Piach

Trrr... Trrrrrach...

Trrr... Trrrach...

Trrrach...

Tyle krwi...

To nie ważne.

Wsączy się

W ziemię.

Wpłyń

W skałę.

Pełne jej będą

O sławie

Sny.

Płomienne maki

Na

Monte Cassino

I

Polskie łązy...

Droga do Polski

Daleka.

Zapomniane

Przykazanie miłości.

Za

Warszawę

Trzeba zapłacić.
Za Himmlerstadt,
Oświęcim,
Wawer.
Za ghetto
I za kulturkampf.
Za co zginął
Ojciec,
Syn
I brat.
Za
Polskę.

Wet za wet.
Prawa
Dzikiego
Narodu
Miał cię uczyć
Wróg - Niemiec
I
Aliant - Moskal.
Dostawałeś
Maki
Za krew.
Za plecami
Na Krymie
Wymieniano
Przy
Winie -
Za maki
Twój chleb.
I kupiono ci
State scholarship,
Żebyś mógł
Za co
Ja -
Syn twój -
Się uczyć.
Zatwierdzono
Settlement act,
Gdybyś nie chciał

Do kraju powrócić.

Setki maków

Przekwitły

I zgniły.

Rozproszeni

Twój szef i koledzy.

Już.

O sławie

Się śniło,

Prześniło.

Kto odpowie:

Czy to było

Warto???...

Mógłbym panu, panie Andrzeju, odpowiedzieć prostymi i pięknymi słowami Jana Bielatowicza, że:

„... z krwią jest tak jak z ziarnem. Gdy pada w ziemię, zapowiada przyszły plon i zwycięstwo życia. Krew żołnierza nie idzie na marne, jeśli za nią stoi wola narodu...”

Ale pragnę dodać kilka słów od siebie.

Mój Boże, czy warto?... A czy warto stać się zrezygnowanym niewolnikiem, patrzącym niewidzącymi oczami na własne poniżenie?... Bezwolnym cieniem człowieka, z wyschniętym sercem i obumarłą duszą?...

Wolność, to wielka rzecz. Tak wielka, że warto dla niej nie tylko żyć ale umierać. Tak, jak oni umierali z wiarą w lepsze dni. To nie byli niewolnicy, którzy szli dlatego, że im kazano. To byli najbardziej prawi żołnierze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, którzy ginęli z Jej imieniem na ustach.

Łajdactwo bardziej popłaca, niż bohaterstwo. Dlatego na świecie jest więcej łajdaków. Ale to nie znaczy, że nie warto być bohaterem.

Jakże często starano się przemilczeć i umniejszać rolę polskiego żołnierza w bitwie o Monte Cassino.

Tak, jak niejednokrotnie umniejszono rolę polskiego lotnika w Battle of Britain.

Ale myśmy tam byli, panie Andrzeju. Ja i pański ojciec. Myśmy to widzieli i przeżywali. My wiemy, jak było naprawdę.

I dlatego naszym obowiązkiem jest - nie tylko czcić Ich prawą żołnierską pamięć - ale uszanować tę Ich wiarę, dla której polegli w najszczytniejszej ze służb. W służbie Polski.

I to jest główny cel mego przesłania.
